

MARGINES

SZKOŁA | UCZNIOWIE | PRASA

PAŹDZIERNIK 2011

zslmargins@o2.pl

Dzień Nauczyciela



egzemplarz
bezpłatny

podaj
dalej!

fot: Tomek Ciasłoń

sport:

Europa coraz bliżej USA

str. 3

Strefa filmu - str. 5

**Mój pierwszy...
miesiąc w ZSL
str. 7**

pierwszy odcinek:

Karl - The Revenge - str. 4

WSTĘPNIAK

kastel

Nie znoszę jesieni!

Jest ponuro zimno, paskudnie i trzeba przebierać buty w szkole.

Takim pozytywnym akcentem rozpocznę październikowy numer, w którym zaczniemy od 56 kaflów kafli, które ktoś tam wygrał. Czytajcie artykuł obok.

For sports fans next is Jazz i jego comiesięczny news straight from USA basket. Hehe. Mam nadzieję, że Panią Profesor od angielskiego rozparło teraz z dumy. Potem coś, co Wam się przyda – trochę kultury. Arek zaprasza na wystawę w Muzeum Sztuki Współczesnej.

Ponadto coś, na co czekali chyba nasi wszyscy Czytelnicy. Hubcio przedstawia drugi sezon serialu „Robert – The Gangsta”! A jakby tego było mało, to uraczył nas przemyśleniami dotyczącymi czegoś, z czym mamy kontakt, na co dzień. MPK! Ode mnie macie na przystawkę trochę recenzji o filmach i muzyce.

A w prawym narożniku tekst kilkakrotnie dłuższy niż wypracowanie maturalne z języka polskiego. Liczący 1250 wyrazów artykuł Wojtki o Jego wakacjach przed kilku lat. Jakby tego było mało, to jeszcze hojnie uraczył nas swoimi fotosami ze złołka.

Nie wiem, z czego się śmiejecie...

I tak był przystojniejszy wtedy niż Wy wszyscy razem wzięci teraz.

Mam nadzieję, że październikowy numer umili Wam ten paskudny jesienny czas, a jeżeli coś w naszej gazecie nie pasuje, to zaczniacie sami do niej pisać. Przepraszam, jeżeli byłem ciut niemiły. To przez pogodę. Tak na serio to Was kocham.

PS. 14 października obchodziliśmy dzień Komisji Edukacji Narodowej, tzw Dzień Nauczyciela.

Nauczycielom mówimy, że bardzo Was kochamy, no chyba, że znów nas przypaľujecie...

Jak ugryźć 56 milionów złotych?

sowilo

Każdy chyba żył pod koniec września losowaniami Lotto.

Najpierw sobota (kiedy to nie padła najwyższa wygrana), potem przez cały wtorek, 27 września, na Facebooku pojawiały się statusy, że „to on (albo ona), a nie ktoś inny jest właścicielem szczęśliwego kuponu”, „że stawia wszystkim flaszkę, jak wygra”, a tak w ogóle „to pakuje się właśnie na wyjazd na Karaiby”. Normalnie sami milionerzy. O co ta cała afery? Cóż, sprawa chyba oczywista – dzięki kuponowi za 3zł i sześciu szczęśliwym liczbom można było wzbogacić się aż o 56 milionów złotych (taka kwota w gotówce waży blisko 250kg i na pewno ładnie wygląda... ach, lubię zielone i żółte :D), rekordowa suma w Polsce! Sama stałam w ogonku jednej z kolejek i chciałam ugryźć szczęścia, a nuż trafię (taa... trafiłam, aż „jedynek”)?

Marzenie? Zapewne, ale dwóm szczęśliwcom się udało. Magiczne liczby: 14, 15, 25, 27, 37 i 40 zostały wytypowane w Warszawie (kolektura w sklepie Tesco, pięć kuponów na chybił-trafił) oraz w Redzie (kupon na trzy losowania, również metoda chybił-trafił), a każdy ze zwycięzców otrzyma teraz po 28 083 296,60 zł. Szansa trafienia wymarzonej szóstki wynosi 1 : 13 983 816, więc statystycznie rzecz biorąc, większe jest prawdopodobieństwo, że w drodze ze szkoły do domu trafi nas piorun, niż że trafimy szóstkę w Totka.

Dotychczasowa największa wygrana w Polsce była o połowę niższa i wynosiła „zaledwie” 24,5 miliona złotych (szóstka padła

wtedy w Elblągu). Jednak są to „grosze” w porównaniu z wygranymi w loteriach na świecie. Na podium uplasowały się nagrody w loteriach z Hiszpanii (126 231 764 euro, czyli ok. 503 milionów złotych), Wielkiej Brytanii (113 374 997,83 funtów, ok. 515 milionów złotych) oraz Stanów Zjednoczonych, gdzie dwóch zwycięzców podzieliło się kwotą 390 milionów dolarów, czyli ok. 1,1 miliarda(!) złotych. Kto by tyle nie chciał? ☺

Chociaż kwoty rzędu pół miliarda złotych ciężko sobie wyobrazić, to nawet te polskie 56 milionów to olbrzymie pieniądze. Ile można za to kupić? Oczywiście 10% zabierze fiskus, ale zostaje jeszcze reszta. Czternaście tysięcy laptopów, dziewiętnaście milionów cheeseburgerów, czternaście milionów tabliczek czekolady... Tak, ponad 2 miliony butelek wódki też można za to kupić. Długo można by przeliczać, co kto lubi. Wystarczyłoby na co najmniej dwa życia.

A Wy, co byście zrobili, gdyby nagle Wasze konta bankowe powiększyły się o te „kilka zer”? ☺



Europa coraz bliżej USA

Jazz

Na przełomie sierpnia i września odbyło się najważniejsze święto europejskiej koszykówki - EuroBasket 2011.

Rywalizacja miała odbyć się na Litwie, która jest Mekką basketu na Starym Kontynencie. Już przed zawodami uznano, iż będzie to najlepiej obsadzona impreza w historii. Podsumowując: najlepsi zawodnicy Europy na turnieju rozgrywanym w kraju, w którym każdy jest pasjonatem koszykówki. To po prostu nie mogło się nie udać.

Na początek należy przyjrzeć się zespołowi dla nas najważniejszemu, czyli drużynie biało – czerwonych. Polacy swoją grupę dzielili z broniącymi tytułu Hiszpanami, jak zawsze silnymi Litwinami, wicemistrzami świata Turcją, niebezpiecznym zespołem Wielkiej Brytanii i słabymi Portugalczykami. Nie trzeba być ekspertem, aby zauważyć, że nasze Orły znad Wisły nie były faworytami. Przez niektórych zostali skreśleni już przed turniejem. Jednak polscy koszykarze wykazali się niezwykłą ambicją i duchem walki.

Rozpoczęli od inauguracyjnego mistrzostwa meczu z Hiszpanią. Naszpikowany gwiazdami NBA zespół z Półwyspu Iberyjskiego potwierdził swoje umiejętności i szybko objął prowadzenie, utrzymując je aż do końca spotkania. Polacy dzielnie stawiali mu czoła i zakończyli mecz z 5, a nie prorokowanymi ponad 20 punktami straty. Następnym rywalem reprezentantów Polski okazali się Litwini. Przed własną publicznością trafiali oni

dosłownie każdy rzut. W drugiej połowie Polacy nie byli w stanie odrobić znacznych strat. Mecz nr 3 rozgrywany w Poniewieżu pomiędzy Polską a Turcją okazał się prawdziwą niespodzianką. Nasze Orły pokonały zeszłorocznych wicemistrzów świata oraz udowodniły, że nie wszystko jeszcze stracone. Po przeprawie z Turkami polskich koszykarzy czekała rywalizacja z Portugalczykami. Po pierwszej połowie niespodziewanie przegrywaliśmy, lecz Łukasz Koszarek i Dardan Berisha swoją spokojną grą w drugiej odsłonie uratowali nas od kompromitacji. Ostatnie spotkanie z Wielką Brytanią było meczem o wszystko. Niestety nasz zespół nie poradził sobie z presją i uległ drużynie Wyspiarzy, grzebiąc tym samym swoje szanse na awans do drugiej fazy EuroBasketu.

Ktoś może uznać te mistrzostwa za porażkę naszej reprezentacji, jednak pamiętajmy, iż Polacy znaleźli się w grupie śmierci oraz musieli walczyć bez swoich liderów: Marcina Gortata i Macieja Lampego. Ten drugi swoją decyzję o niewystąpieniu na EuroBaskecie podjął i ogłosił kilka miesięcy wcześniej. Powodem były problemy rodzinne. Z kolei pojawienie się Gortata na litewskich parkietach było wielką niewiadomą prawie do startu samej imprezy. Dopiero dwa tygodnie przed rozpoczęciem turnieju Marcin oficjalnie oświadczył, iż pomimo szczyrych chęci gry dla Polski nie może wystąpić z orzełkiem na piersi. W dużym skrócie powodem było nieznaledzenie ubezpieczyciela, który zabezpieczyłby Gortata

przed efektami kontuzji. Jeśli grałby bez polisy i doznał urazu, jego klub mógłby zerwać z nim umowę. Wówczas „Polish Hammer” straciłby pracę i kontrakt opiewający na prawie 30 mln \$. Marcin uznał to za zbyt duże ryzyko i zyskał czas na spotkanie ze swoim idolem, Kubą Wojewódzkim. Wyznał, że uwielbia rozłożyć swoje giwery, rozsypać mnóstwo szmalu na łóżko, a dziewczynę... lepiej wrócić do EuroBasketu.

Nie widziałem wszystkich mistrzostw Europy, ale mam wrażenie, że ten turniej był jednym z najlepszych. Obserwowaliśmy efektywne akcje, efektowne wsady, zaciętą rywalizację, która dostarczała nam emocji do ostatnich sekund gry. Złoty medal obronili Hiszpanie, srebro należało do Francuzów, a brąz zdobyli Rosjanie.

Po tych mistrzostwach mam wrażenie, że przepaść pomiędzy koszykówką europejską i amerykańską została zmniejszona. Poziom gry jest bardziej wyrównany. Nie na tyle, aby zdeklasować zespół USA, ale tak, że będą musieli się nieźle napocić, aby zdobyć mistrzostwo olimpijskie w przyszłym roku.



Drugi sezon serialu: „Robert – The Gangsta”!

Karl – The Revenge

Odcinek 1: Poniedziałek

Hubcio

W poprzednim odcinku:

Robert został zabity w szpitalu przez pewnego wielkiego Murzyna, a Karl przybył z odsieczą o kilka sekund za późno. Grupa uzbrojonych czarnych ludzi wkroczyła do szpitala.

4 piętro szpitala

Karl jeszcze chwilę siedział nad zwłokami swojego największego przyjaciela. Tyle spędzonych razem chwil, tyle frajerskich wyczynów zrobionych razem. Teraz został sam. Znaczący nie do końca, na pocieszenie w jego kierunku szło trzech ziomali zabitego wcześniej goryla. Karl uzupełnił magazynek swojego pistoletu, wstał i wyszedł z pokoju prosto na przeciwnika.

- Oooo, coś ty za jeden? – powiedział zaskoczony jeden z ziomali.

Strzał. Karl bez mrugnięcia okiem wystrzelił we wroga.

Nastąpiła cisza.

- Oooooo, dlaczego ty go zabiłeś, przecież to my mieliśmy cię zabić?! – wykrztusił kolejny.

Padł drugi strzał. Drugi ziomuś padł. Karl stał teraz sam na sam z facetem ze strzelbą w rękach. Obydwaj mierzyli sobie prosto w twarz. Karl był jednak trochę zaskoczony, nie spodziewał się, że odważy się kogoś zastrzelić. I stali tak 5 minut. Kolejne 10 minut. W końcu Murzyn nie wytrzymał i powiedział do Karla.

- Dobra ziomuś, stoimy tak już dość długo i nic się nie dzieje. Nie tak miało być. Co będzie dalej?

- Click Clack Pow, Nigga Down!

I padł trzeci strzał. Karl nie spodziewał się, że tak łatwo mu pójdzie. Zjechał na parter. Przechodząc obok recepcji ponownie zagadał do recepcjonistki.

- Ładny biuścik kochanie...

- Już to mówiłeś. Powtarzasz się. FAIL!

Czwartego strzału nie było. Karl dostał zakwasów od naciskania spustu. Nasz bohater załadował się do swojego samochodu i zaczął intensywnie myśleć. Ale szybko przestał. Zbyt to go bolało. Wracając do domu, zastanawiał się, co będzie dalej. Został sam, nie będzie miał do kogo wpadać z samego rana. Nie będzie miał z kogo żartować. Nawet nie będzie miał jak go pomścić, w końcu osobiście zabił mordercę. Nie, została jednak jeszcze jedna osoba. Samantha. Ona wykablowała wszystko o Robertcie. Tak. Trzeba się do niej zbliżyć. Ale na litość boską, ona jest większa od Hummera'a. No cóż, trzeba się poświęcić dla dobrej sprawy. Rany boskie, 200 kilo ruchomego tłuszczu. Eh, trudno. Jakos to będzie.

Karl podjechał właśnie do swojego domu. Jednak widok wyłamanych drzwi wejściowych mocno go zaniepokoił. Miał już dość wrażeń na dzisiejszy dzień. Wyszedł ostrożnie z auta i trzymając spluwę w ręce ruszył w stronę posiadłości. Spojrzał ostrożnie przez framugę do wnętrza domu. Wydawało się być pusto, ale Karl niczym antyterrorysta wskoczył do salonu skokiem tygrysim, przeturlikał się przez środek, uderzając głową w wazon stojący na taborecie, aż w końcu zatrzymał się na kanapie, przewracając się razem z nią. W ten sposób upewnił się, że w domu na pewno nikogo nie ma. Zaczął rozglądać się po pokoju. Na ścianie wisiała kartka przybita nożem. Na kartce było napisane „Ty będziesz następny”.

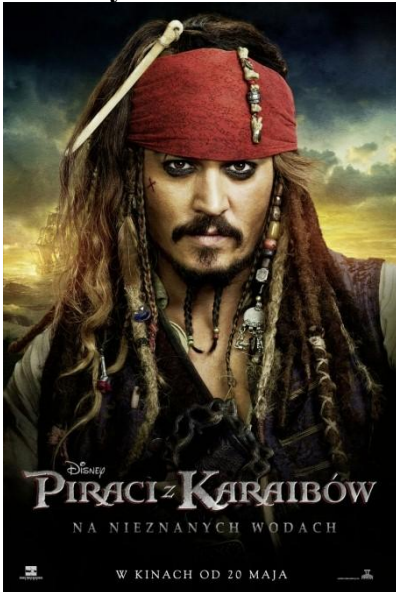
Karl właśnie narobił w gacie.



Strefa filmu

kastel

Piraci z Karaibów: Na nieznanym wodach



Czwarta część piratów to całkiem dobre kino. Można było usłyszeć obawy, iż ta część będzie kiepską, kolejnym skokiem na pieniądze i będzie słaba. Powyższe obawy okazały się na szczęście nieprawdą i piraci powrócili w świetnym stylu. Śmiem nawet twierdzić, iż dorównuje klimatowi pierwszej części, bo w sumie historia rozpoczyna się na nowo. Pojawiają się nowe postaci, nowe wątki, ale także spotykamy starych znajomych. Historia zaczyna się tam, gdzie twórcy zostawili sobie otwartą furtkę. Jack Sparrow (jak zawsze wybitny i doskonały w tej roli Johnny Depp) na drodze do źródła młodości. Więcej nie chcę zdradzać z powodu, iż czeka Was przy tym istna zabawa. Uspokoję trochę ciekawość: Penelope Cruz (i ten jej akcent, który sprawia, że nachodzą mnie brudne myśli) gra tam dziewczynę naszego ukochanego pirata i też chce znaleźć owo źródło młodości. Warto obejrzeć! Serdecznie polecam!

Jutro idziemy do kina



Polski film z młodym pokoleniem, które nasze matki będą znały z telewizyjnych oper mydlanych o miłości. Ale nie zniechęcajcie się, bo film jest całkiem niezły.

Opowiada on historię trójki przyjaciół w naszym wieku, którzy mają plany na przyszłość, mają swoje zmartwienia, dziewczyny. Ich plany zostają przerwane przez II wojnę światową. Jak to bywa z polskimi filmami, zawsze coś jest nie tak. W tym przypadku mam jedno zasadnicze, „ale”.

Bohaterowie, mimo że najwyższy ich wiek to 19 lat, wyglądają jakby zaraz mieli mieć 27. Można się uprzeć, że to nie przeszkadza, ale mnie trudno było się utożsamić z bohaterem, który nie wygląda jak ja.

Wiem, że do obejrzenia zbytnio nie zmotywowałem, ale można zobaczyć jeszcze z powodu tuzina pięknych polskich aktorek. Wystarczy?

Księga Ocalenia



Jedyne, co tam jest ciekawe, to charakterystyka Denzela Washingtona. I śliczna Mila Kunis (spoko, ja też nie wiem, kto to jest).

Gary Oldman to żadna zachęta do obejrzenia filmu. Fabuła taka sobie. Postapokaliptyczny świat, w którym się ludzie mordują, nie myją itp.

Jest sobie Eli (grany przez Washingtona) i sobie przemierza świat od 30 lat, idąc na zachód. Ma on tajemniczą książkę (domyślcie się, że to Biblia), która może przywrócić światu dawny porządek, ład oraz sprawiedliwość.

W jednej wiosce, Gary Oldman chce mu ją zabrać, aby przejąć władzę na świecie. Jedyne, co może uratować ten film, to możliwość obejrzenia go na religii, zamiast innych, nie powiem, że gorszych filmów. „Księga ocalenia” trafiłaby wtedy do odbiorców z pożądanym efektem. Amen.

Rozważania filozoficzne: Środki komunikacji miejskiej

Hubcio

Chcę wkroczyć na cienki lód.

W zeszłym roku prowadziłem serię poradników, jak zostać kimś i tak dalej. Ale oficjalnie zamykam ten dział. Powód? Zabrakło pomysłów i natchnienia. Dlatego postanowiłem też – co jest samobójczym krokiem – zabrać się za krytykę. Tak wiem, co ja tam mogę wiedzieć, ale może moje artykuły pozwolą Wam spojrzeć na codzienne sprawy z innego punktu widzenia, lub po prostu hmm... a nie wiem, wstęp nie będzie filozoficzny, co mi tam.

Dzisiaj na warsztat bierzemy komunikację miejską, zwaną powszechnie MPK lub autobusem\tramwajem. Zaczniemy może od samej organizacji tej usługi. Idea jest świetna. Człowiek sobie przychodzi na jakiś przystanek, których jest dość sporo, wybiera sobie, czym chce jechać, płaci i jedzie w komfortowych warunkach, szybko i bezpiecznie. Taaaa, a potem się budzimy i idziemy na nogach. W rzeczywistości każdy wie, jak to wygląda, więc nie będę się rozpisywać na temat punktualności (albo jej braku), wygody i innych czynników wpływających na zadowolenie z korzystania z tej usługi. Ale powiem trochę o komforcie, co jednak tyczy się innych użytkowników publicznego środka transportu niż samej jego organizacji. Za przykład posłuży mi pospolity autobus Solaris lub inna badzi... ekskluzywna maszyna transportująca. Gdy chcemy wsiąść, ustawiamy się obok drzwi. Zasada kultury mówi, że najpierw się wychodzi, więc jeżeli nie chcesz dostać z bara, to serio stań obok tych drzwi (później wspomnę o drugiej stronie tego problemu). Wszyscy wysiadający wysiedli, więc wsiadamy. Pierwsze pytanie: dlaczego wszyscy stoją przy drzwiach i w przestrzeni w pobliżu drzwi, skoro reszta autobusu jest pusta? Po co, ja tego nie rozumiem,

czy czujemy się wtedy lepsi? Czy jest nam wygodniej wachać czyjaś pachę tylko dlatego, bo jestem w pobliżu drzwi? Dobrze, przebiliśmy się przez „przedsionek”, stajemy sobie z kulturą w puściutkim miejscu i stoimy. Zbliżamy się do przystanku, mamy do niego z 400 metrów jeszcze. Kolejne pytanie: jeżeli wstaniemy sobie z siedzenia i będziemy się przepychać w stronę drzwi, uniemożliwiając innym bezpieczne trzymanie się czegośkolwiek, to czy to sprawi, że wysiadziemy szybciej? Osobiście denerwują mnie zwłaszcza starsze osoby, gdy robią szum i zamieszanie w autobusie, bo one „chcą się ustawić do wyjścia, bo za minutę wysiadają”. Zasada jest prosta: autobus zatrzymuje się, ja wstaję, idę do wyjścia i wychodzę. Nie mam wewnętrznej potrzeby lansowania się tym, że „ohh, za minutę mam przystanek, to sobie delikatnie przejdę przez ten tłum, żeby wszyscy widzieli, że zaraz wysiadam”. I narzuca się następna sprawa odnośnie wysiadania, dotycząca prawa: „najpierw wysiadamy kochani”. Powiedziałem wcześniej, żeby ustawiać się obok drzwi, a nie na wprost. Dlaczego? Chcemy wysiąść. Drzwi się otwierają. Nie wyjdę, bo ludzie stoją przede mną i czekają, aż opuszczę pojazd. Ale ja nie wyjdę, bo oni stoją, ale się nie usuną. I co my robimy najczęściej?

Pchamy się, a potem słyszymy, jaka ta młodzież nie kulturalna. Wtedy ponownie apeluję, stawajmy obok drzwi. I jeszcze jedna kwestia odnośnie manewru wychodzenia z pojazdu, a bardziej to, jak zachowujemy się, czekając na otwarcie drzwi.

Następne pytanie: drzwi są zamknięte, przed drzwiami pewna osoba oczekuje na ich otwarcie, więc jeżeli ją popcham swoim brzuchem/torebką/plecakiem, to czy to umożliwi nam szybsze wyjście? Pcham osobę, ale drzwi dalej są

zamknięte, więc nie poruszam się szybciej, więc nie pcham, bo po co. Proste, a oszczędza nerwów. Dalej – dość częstą sytuacją, jaką możemy zaobserwować, jest alarmowanie osoby siedzącej obok nas (jeżeli siedzi obok okna). Szelest siatek, rozglądanie się na boki, ubieranie rękawiczek, chwytanie się za oparcie siedzenia, lekkie wiercenie się i tym podobne są oznakami, że chce wysiąść. Ale czy nie wystarczy zwykłe „przepraszam”? Tak ciężko to nam powiedzieć, gdy chcemy zostać przepuszczeni? I jeżeli już kogoś przepuszczamy, to wstańmy z tego siedzenia, zejdźmy w miarę możliwości na bok i pozwólmy danej osobie wysiąść w miarę komfortowo. Dużo osób delikatnie obraca się kuląc nóżki zamiast wstać, a potem dziwią się, że mają na twarzy czyis tyłek lub co innego.

Omówmy sobie jeszcze kwestię bardziej organizacyjną MPK. Przychodzimy sobie na pętlę. Czekamy. Ooo, fajowo, przyjechał nasz autobus, zaraz sobie wsiadę. Nie, nie tak łatwo. „Zjazd do zajezdni”. Hmm, dobra, to zaraz następny przyjedzie. Nie, nie przyjedzie, nie ma się co łudzić, spóźni się. Okej, w końcu przyjechał. Co robi? Zjeżdża do zajezdni, bo tak spóźniony, że nie ma po co jechać. I tak w kółko. Ale spokojnie, w końcu któryś odjedzie w stronę szkoły. Więc drodzy nauczyciele, jeżeli się spóźniamy na pierwszą lekcję i tłumaczymy się „spóźniającym autobusem” lub coś w tym stylu, to to jest szczerza prawda i tylko prawda.

Jeżeli chodzi o moje opinie na temat MPK to byłoby jeszcze ich wiele, ale wiecie, ograniczone miejsce i tak dalej. Natomiast jeżeli jest coś, co chcielibyście zobaczyć jako skrytykowane, to ślicie propozycje do następnego numeru na adres: zslmargins@o2.pl a zobaczymy, co da się zrobić.

Mój pierwszy... miesiąc w ZSŁ

Szymon Pajka

Wszystko zapowiada się fajnie.

30. sierpnia, nowa szkoła, internat. Człowiek jest bardzo podekscytowany. Nowi ludzie, nowe twarze oraz kolejny raz syzyfowe wpisywanie numerów telefonów (Ej! Tam miało być siedem czy dziewięć?!). Ale nie oszukujmy się. To jest urok „czegoś” nowego.

Przyjeżdżam do internatu ok. godziny 16. Na korytarzach cisza. Dowiaduję się, który pokój jest mój i zaczyna się zabawa. Rozpakowuję się, wpadają koledzy i wreszcie zaczyna się robić ciekawie. Jemy coś i idziemy spać. I tak mija dzień i noc – dzień 1.

1 września – 1 śniadanie, 1 dzwonek w szkole – ogólnie rzecz biorąc same jedyńki! Ale człowiek się nie zraża, tylko mężnie idzie przed siebie. Spotkanie z wychowawcą – odbywa się na takich obrotach, że od razu zaczynamy lubić naszego opiekuna.

Mijają dni, mijają noce, wszystko bardzo szybko się kończy. Papić Czas nie szczędzi nawet naszego obrońcę - sir 2 tygodnie... Po jego odejściu zaczyna się korzystanie z bonusów danych na start (takiego swego rodzaju ekwipunku). Zgłasza się „x”, pisze się sprawdziany, kartkówki, zadania domowe. Zaczyna się życie.

Teraz słówko o radzie pedagogicznej by się przydało; więc ja tak to opiszę: Nauczyciele fatalni. Fatalni? Dlaczego? Bo nigdzie indziej tak nie zachęca ucznia do chodzenia do szkoły! To jest po prostu niedopuszczalne! Więc chyba więcej pisać nie trzeba, bo w tym akapicie ukryte jest wszystko.

Na sam koniec kilka słówek pisnę – że lepiej wybrać nie mogłem, choć wiem, że będzie trudno. Ale się nie poddam. Bo to, co przez ten miesiąc sobie wyobrażałem, teraz na życie przekładać sobie chciałem...

Odkryj Kraków

Arek J.

Zaczynają się pochmurne jesienne dni i nie wiecie co ze sobą zrobić? W takim razie mam dla Was propozycję - Muzeum Sztuki Współczesnej(MOCAK). Otwarta w maju instytucja prezentuje wystawy ze szczególnym uwzględnieniem sztuki dwóch ostatnich dziesięcioleci.

W dwóch budynkach oferowane są prace artystów z całego świata. Znajdziemy tam kolekcję gromadzoną przez muzeum, wystawy czasowe o tematyce designu, dźwięku i tekstu, bibliotekę, księgarnię i kawiarenkę. Obecne wystawy znajdujące się w muzeum:

1. Kolekcja MOCAK-u

Jest to wystawa zbiorowa kilkudziesięciu polskich i zagranicznych autorów. Prezentuje niezwykle różnorodność sztuki współczesnej.

2. Historia w sztuce Międzynarodowa

wystawa, której celem jest pokazanie nieścisłości w dokumentacji wydarzeń historycznych. Jest to pierwsza wystawa z planowanego cyklu. Kolejne to sztuka, polityka i religia w sztuce.

3. Między rzeźbą, a modą (do 30.10.2011)

Wystawa prac Haliny Mrozek. W swoich dziełach tworzy portrety psychologiczne ludzi wykorzystując doświadczenia związane z rzeźbą.

4. Sobota (do 30.10.2011)

Wystawa prezentująca dzieła Anny Okrasko. Prace stawiają pytanie o możliwości kształtowania miasta przez jego mieszkańców.

Na wyróżnienie zasługuje także nietypowy budynek muzeum wzniesiony na terenach dawnej Fabryki Schindlera. Zaprojektowany został przez Claudio Nardiego. Projekt bazuje na zastosowaniu linii prostych i doświetleniu sal wystawienniczych. Ma on nawiązywać do nurtu architektury neomodernistycznej.

Jeśli macie trochę czasu, warto zwiedzić to miejsce. Trzeba przecież zobaczyć, jakie dzieła za kilkadziesiąt lat znajdą się w podręcznikach do języka polskiego i będą do znudzenia omawiane przez nauczycieli.



Adres:
ul. Lipowa 4

Godziny otwarcia:
wtorek – niedziela 12.00–20.00

Bilety:
Normalny - 10zł
Ulgowy - 5zł

Wakacje w wielkim świecie

Wojciech Gajda

Nie, wcale nie będę pisał o tegorocznych wakacjach.

Mimo że bardzo udane, to jednak nie tak światowe i pełne wielkich wrażeń, jak te z 2006 roku. A czemu wracam do wydarzeń sprzed 5 lat? Sprzątając w starym pudle, wpadłem na zdjęcia z Anglii i tak się uśmiełem, że stwierdziłem, że czasem dobrze cofnąć się w przeszłość, wyteżyc pamięć i postarać sobie przypomnieć jak najwięcej. Dobre ćwiczenie dla umysłu.

Do

Anglii wyjechałem na 2 miesiące, całkowicie sam, zaraz po skończeniu edukacji w szkole podstawowej. Początkowo podekscytowanemu, przeszło mi w dniu wyjazdu, gdy dotarło do mnie, że muszę przejechać prawie 2500 km, będąc zdany tylko i wyłącznie na siebie (niestety z powodu ówczesnych przepisów prawnych, mogłem dostać się na wyspy jedynie autokarem, gdyż samolotem nie wolno mi było podróżować bez prawnego opiekuna). Z niewielką chęcią wsiałem do pojazdu, by rozpocząć 35-godzinną podróż. Zapowiadało się męcząco, a skończyło się bardzo pozytywnie – wszyscy pasażerowie byli sympatyczni, więc poza pokazami różnych filmów, miałem okazję pograć w różnego rodzaju gry zespołowe. A po drodze, w czasie przerw, można było zobaczyć spory kawałek państw, przez które przejeżdżaliśmy – Niemiec, Holandii, Belgii i Francji. Im bliżej punktu

docelowego, tym lepiej się jechało – zwłaszcza, gdy dotarłem do Eurotunelu. Dla nieorientowanych: to tunel pod kanałem La Manche łączący Francję z Wielką Brytanią. Autokar wjeżdża na platformę wielkiego „pociągu” (gdyby PKP



miało taką przestrzeń, to mogłoby upychać 10 razy więcej pasażerów do jednego pociągu, niż teraz...) i z prędkością 160 km/h pokonuje trasę 50 km w niewiele ponad 30 minut. Jeśli kiedykolwiek będziecie wybierać się w taką podróż, spakujcie się lepiej niż ja – pełni życzliwości celnicy, przed wjazdem do Eurotunelu, tak gruntownie przeprowadzają kontrolę, że wyjechałem z Krakowa z jedną torbą, a dojechałem z torbą i dziesięcioma siatkami.

Uwaga... Jesteśmy w Anglii! Pierwsze wrażenie: czemu on zasuwa lewą stroną?! Niesamowicie dziwne uczucie, zwłaszcza jeśli dodatkowo widzimy kierowcę standardowo po lewej stronie pojazdu. Moim punktem docelowym było Birmingham, miasto znajdujące się mniej więcej w centrum Anglii – jedno z największych w tym kraju pod względem liczby ludności. Wysiadam z autobusu, czuję się

okropnie. Boli mnie brzuch, boli mnie głowa, boli mnie wszystko. A w nocy nie zmrużyłem oka ani na sekundę – nigdy nie potrafiłem spać na siedząco. Inny klimat, inni ludzie, inna rzeczywistość, a do tego myśl, że nawet jakby się chciało wrócić, to jest taki kawał drogi od domu, z zakupionym biletem na koniec sierpnia. Czuję się jak mała mrówka, która boi się ogromnych

budynków, a że sam byłem jeszcze dzieckiem – to i nawet ludzi. Wsiadłem w taksówkę i pojechałem do flatu, w którym później spędziłem całe wakacje. Stoję i patrzę na budynek. Czuję się, jakbym statystował we własnym życiu. Zupełnie jakbym stał na innej planecie i za

chwilę miał się unieść. Zamieszkałem na ostatnim piętrze domu, w którym mieszkały jeszcze dwie rodziny plus myszy. Wszedłem do swojego pokoju i od razu, co rzuciło mi się w oczy, to zarąbiste łóżko! Odkąd wróciłem z tamtych wakacji, to do dziś dnia mówię, że jak już będę sławny i bogaty, to wybuduję taki wielki dom, że zmieści się do niego takie ogromne i paskudnie wygodne łóżko.

Co mogłem robić pierwszego dnia w innym kraju? Normalny człowiek po dwóch dniach bez snu pewnie chciałby coś odespać, ale zbyt wiele wokół się działo, żeby tak po prostu się położyć i zasnąć. Przed wyjściem chciałem się umyć, ale złapała mnie intrygująca zagwozdzka – wchodzę do łazienki, a tam w umywalce i wannie DWA krany. Myślę sobie: „O co chodzi?” Odkręcam kurki i okazuje się, że z jednego kranu leci zimna woda, a z

drugiego ciepła. Jak świat światem, nigdy do tej pory nie spotkałem się z takim dziwactwem – jak tu się umyć, jak nie da się wypośredkować potrzeb co do temperatury wody – albo jest lodowata, albo aż parzy... Na szczęście, jak wiecie, Polaków na wyspach nie brakuje i na drugi dzień zakupiłem specjalny wężyk łączący dwa krany. Może to nadal nie było to samo, co u nas, ale efekt był w miarę satysfakcjonujący. Wieczorem, z obecnymi tam już znajomymi, udałem się do Centrum Rozrywki, jednego z największych w tym kraju. I zestawiając je z naszymi polskimi miejscami tego typu, to wyszłoby, że w Polsce nie ma ŻADNEJ rozrywki. Tyle gier, zabaw, sklepów – a ja (przypominam: miałem 12 lat) koniecznie wszystko musiałem zobaczyć od razu. Po powrocie padłem na tak zwany pysk i żadna siła nie mogła mnie następnego dnia wyciągnąć z łóżka, aż do momentu, gdy okazało się, że lodówka jest pusta, a co za tym idzie – trzeba było udać się do sklepu. Nie wiem, z czego to wynika, ale wstydziłem się mówić po angielsku – miałem obawy, że powiem coś nie tak i że mój angielski jest raczej na niskim poziomie. No i tak też zaliczyłem pierwszą wpadkę przy kasie, nie pytajcie, jaką. Tak czy siak, skończyło się tym, że wysypałem swoje pieniądze na rękę, wyciągnąłem je przed siebie i z oczami kota ze „Shreka” poprosiłem, żeby Pan sprzedawca sam sobie wziął tyle, ile trzeba. Summa summarum śniadanie udało się zjeść. Zaspokoilem głód, więc udałem się do centrum miasta. Nie wiem, czy to światło dzienne sprawiło, ale zdałem sobie wówczas sprawę z tego, że znajduję się w państwie, które jest cywilizacyjnie kilka poziomów wyżej od naszej skromnej Polski. Wielkie, robiące wrażenie budynki, centra handlowe, czyste i w ciekawym stylu ulice, uprzejmi ludzie. Ale co to by była za wyprawa do Wielkiej Brytanii, jakbym się nie przejechał znanym, czerwonym i

dwupiętrowym autobusem? Akurat natrafiłem na kierowcę Polaka, z którym zamieniłem parę zdań, po czym zafascynowany udałem się na górę pojazdu. Generalnie ciekawa sprawa, zwłaszcza dla człowieka, który na co dzień porusza się 50-letnim trzeszczącym Jelczem. Na spacerach wzdłuż rzeki (w Krakowie niby też Wisła płynie przez centrum miasta, jednak nie ma to takiego klimatu, jak tam), znane mosty i po niemalże całym Birmingham skończył się dzień drugi. W mieście na ulicach często można wpaść na różne pokazy (taneczne, wokalne, teatralne) prezentowane na małych scenach, głównie przez Hinduską część społeczeństwa, której w Birmingham widziałem więcej niż rodowitych Brytyjczyków. Kraj wielu narodów.

Dalej, dzień po dniu już Wam niestety (albo stety, jak ktoś nie lubi czytać moich wypocin) sporo nie opowiem, gdyż jednak minęło parę lat i mało szczegółów pamiętam. Może trochę o tamtejszej kuchni? Angielski chleb jest moim ulubionym do tej pory, miękki, tostowy – tyle, że taki pożywny, że na śniadanie potrafiło się zjeść cały bochenek i nadal czuć głód. Obiady jada się w McDonaldzie i nie je się frytek z ketchupem, tylko ketchup z frytkami. Centrum Handlowe - zaprezentowane

akurat na jednym ze zdjęć, wbrew pozorom, jest ogromne. Różnica jest taka, że nie ma w nim jednego, większego sklepu, tylko po wejściu do niego widać nawet tysiące małych sklepów, z różnymi rzeczami. Zazwyczaj tam chodziłem dwa razy w tygodniu, do polskiego sklepu. W nim wszyscy czują się jak w Polsce, poza zakupami zamieniają parę zdań. Tradycyjne polskie potrawy i produkty. Nieco rodzinna atmosfera. Kojarzycie drużynę piłkarską Aston Villa? Miałem okazję mieszkać naprzeciw ich stadionu, spotkać jej piłkarzy i obejrzeć ich siedzibę. To jednak przeżycie, zwiedzić stadion jednego z najstarszych i najlepiej utytułowanych klubów w Anglii. W Birmingham znajduje się także Bull Ring – centrum handlowe warte ponad 800 mln funtów, które pokryte jest kilkunastoma tysiącami dysków. Co ciekawe, wielka galeria dwa razy w roku rozświetla miasto na różowo lub niebiesko, zależnie od „okazji” (dnia gejów czy lesbijek). Wymęczyłem swoją pamięć już chyba maksymalnie, jak się da. Wyjazd ten przyniósł mi naprawdę wiele wrażeń, a w dodatku usamodzielniał mnie, dlatego – jeśli kiedykolwiek nadarzy Wam się podobna okazja zobaczenia kawałka innego świata, skorzystajcie mimo wszystko – warto.



Muzyka

kastel

Męskie Granie



Browar Żywiec jest twórcą corocznej trasy koncertowej o nazwie „Żywiec: Męskie Granie”. Trasa ta odbywa się w okresie letnim i Kraków zawsze jest jednym z miejsc, gdzie odbywa się koncert. I tak oto w 2010, powstał dwupłytowy krążek, na którym muzycy umieścili swoje piosenki.

Ot, co taka składanka, która ma za zadanie sprawić, abyśmy ją kupili i poszli na koncert. Płyta jest świetna utrzymana w klasycznym rocku, ale nie tylko. Znajdziemy także trochę muzyki alternatywnej, a także trochę hip-hopu.

Utwór nagrany przez Abradaba (który w 2010, brał udział w trasie) oraz Fisza. Ponadto znajdziemy utwory Waglewskiego, (który jest genialnym muzykiem, to nie podlega dyskusji), Maleńczuka (tu już można polemizować) i innych mniej komercyjnych muzyków.

Płyta świetna, fanom szukających artystycznych doznań przypadnie do gustu.

Warren Zevon

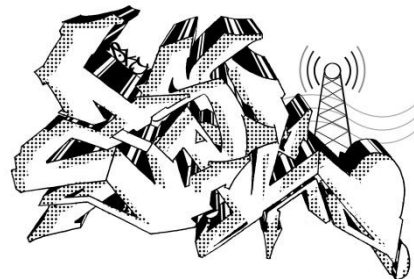


Z tego, co czytam na Wikipedii, to jest on wpisywany do trójcy najciekawszych muzyków folk-rockowych, czyli koło Boba Dylana oraz Neila Younga (szczerze, to znam tylko tego pierwszego).

Natknąłem się na niego dzięki piosence *My shits f*cked up*, którą napisał, gdy dowiedział się, że ma raka. Brzmienia charakteryzują się typową mocną amerykańską gitarą. Jego teksty też były o tym, o czym mu się podobało. A w głosie czuć whisky, papierosy i narkotyki.

Facet miał życie typowego rockmana i jak sam stwierdził: *Wybrałem pewną ścieżkę i żyłem jak Jim Morrison i żyłem 30 lat dłużej. Dokonujesz wyborów i musisz żyć z ich konsekwencjami.* Jego największym hitem jest „Werewolves of London”. Urodził się w 1947 roku, w 1969 wydał pierwszy album „Wanted dead Or alive” (piosenka o tym samym tytule też jest niczego sobie). Potem powstało jeszcze 14 krążków.

Zmarł w 2003 na raka.



!UWAGA CZYTELNICY!

Szukamy osoby na stanowisko:

Dziennikarz/Reporter

Praca polega na napisaniu artykułu, na dowolny temat.

Za każdy opublikowany artykuł płacimy wysoką nadprogramową oceną z języka polskiego.

Szczegóły w gabinecie polonistycznym u mgr Bogusława Bogusza.

Nie czekaj! Zgłoś się już dziś!

Gazetka szkolna ZSŁ Margines

Nakład własny

Redakcja w składzie:

Paweł Kastelik
Wojciech Gajda
Hubert Pięta
Michał Jazowski



Opieka/konsultacja/korekta:

mgr Bogusław Bogusz

e-mail: zslmargins@o2.pl

http://www.tl.krakow.pl/o_szkole/media_szkoln_e/gazetka__margins/